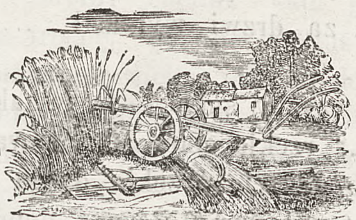
Tom II. 11. Sierpnia 1870. Nr. 5.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1., 11. i 21. każdego miesiąca.



Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Od redakcyi.

Dalszego ciągu powieści „Chleb ma rogi“ nie otrzymaliśmy dotąd z poczty; umieścimy go natychmiast, skoro tylko nadesłanym zostanie.

Wychowanek wioski.

„Nad syrotoju — Boh z kałytoju.“ *)

I.

Koło kościółka wiejskiego na cmentarzyku siedzi chłopczyna może ośmioletni i rzewnie płacze. Było to w Niedzielę; ludzie z nieszporu idą i spoglądają na chłopczynę; jaki taki kiwnie głową z politowaniem, i z cicha szepnie: ot biedna dziecina, — pańska dziecina a tak w poniewierkę idzie. Kilka kobiet, co to zawsze więcej czułe od mężczyzn, zebrało się koło chłopczyny, i nuż pytać go, i radzić i pocieszać. „A cóżto wam znowu takiego paniczyku, że tak rzewnemi łezkami płaczecie?“ . . . pyta jedna i druga.

— „Chłopczyna podniósł główkę, spoglądnął na przyjaźne spojrzenia wieśniaczek — przetarł ręką oczęta mokre, — i na pół z płaczem wyrzekł:

*) „Nad sierotą, Bóg z kaletą“ (kaleta tyle co worek z pieniądzmi) — piękne przysłowie naszych braci Rusinów.

— „Oj bieda mi ciągła — znowu stryjaszek bił, oj bił, i jeść nie dał, i za drzwi wyrzucił . . . . i w świat mi iść rozkazuje.“

— „Jak to, czyżby śmiał, — ta wszakto paniczyka dwór — ta i wioska . . .“ rzekła stara Marcinowa.

— „At, co gadacie, rzekła druga kobieta, — a czyż nie wiecie, że to skaranie Boże i dopust ciężki, a nie pan jaki. Czyż nie pamiętacie, niedawno wójt poszli ta ze starszymi, i prosili go i całowali po rękach, żeby na tę sierotę lepsze dał baczenie, — boć to przecie naszego kochanego dawnego pana dziecko, co to świeć Boże nad jego duszą, tam w powstaniu zginął.“

— „Ot przecież nie trzebaby dać zginąć temu pacholęciu, ozwała się znowu Marcinowa, — toż ten panisko niedobry, to go i zabić gotów, byle po nim wioskę mógł zabrać, a nie, to go zamęczy ciągłem biciem albo głodem zamorzy.“

Tak gwarzyły i litowały się poczciwe kobiety, — żal im było tego dziecięcia poniewieranego Bóg wie za co.

W tem nadszedł stary Maciej, ów wójt, co to już raz chodził prosić do dworu za chłopczyną. — Stanął sędziwy Maciej, i srodze się zadumał. Siwy wąs targa, a duma i duma, i łza mu po ogorzałem spłynęła licu.

— „Ej, niechno tam już co chce będzie, odezwał się w końcu, a Pawełkowi zginąć nie damy. A czyto ja darmo tyle dobrego od nieboszczyka otrzymywał, — przecie on nas wszystkich jak ojciec kochał, — to jego krew ma za to iść w poniewierkę . . . . Nie, przez pamięć nieboszczyka, nie pozwolę na to . . .

I tupnął nogą stary Maciej, i nasrożył się po wojacku. Bo trza nam wiedzieć, że Maciej, to wiarus stary; — on to jeszcze w 1831 r. z dziadkiem Pawełka w Polsce się bił, — a nieźle widno pierś za Ojczyznę kochaną nadstawiał, kiedy do dziś na pamiątkę sporą bliznę na czole nosi. On to kiedy powrócił, wypieścił malutkiego wówczas ojca Pawełka, to też i później on zawsze w dworze był widziany nie jak obcy, ale jak krewniak, jak najlepszy przyjaciel. I pan go dawny kochał, i pani, co także już dawno nieboszczka. A gdy w ostatniem powstaniu r. 1863 pan się za Ojczyznę drogę bić wybie-

rał, to Maciej spłakał się jak dziecko przy pożegnaniu z poczciwem paniskiem. I byłby chętnie sam poszedł, tylko że starowina niedomagał trochę, lata mu się już dobrze we znaki dały. A co się napłakał po cichu, jak się dowiedział, że pan już podobnoś pod zieloną mogiłą leży, że gdzieś w bitwie padł za Ojczyznę. Wiadomość tę przyniósł pierwszy brat pana; czy ona prawdziwa, Bóg to raczy wiedzieć, bo tyle ludu naszego zginęło, a trudno wiedzieć czy polegli, czy też może ich Moskal w ciężką zagnał niewolę. Otóż brat pana przybył, wziął niby opiekun małego Pawełka wioskę w zarząd, i odtąd tłukł się jak szara gęś po gospodarstwie. A nie dobry to był i niepoczciwy człowieczysko. Ani mu kto kiedy dogodził; każdego musiał skrzywdzić: i ekonoma, i robotnika.... każdemu dał się we znaki. A co z małym Pawełkiem, to już najgorzej sobie postępował. Chciał go widocznie zamęczyć, aby po nim jako najbliższy krewny, wioskę zagarnąć. O! nie daj Boże nikomu zostać sierotką, bo ciężka to dola!

Dumał chwilkę jeszcze stary Maciej, nareszcie przystąpił do Pawełka, i głosem jak mógł najłagodniejszym rzekł:

— „Mój złoty paniczyku, Pawełeczku kochany“ — ot, kiedy tam stryjaszek taki niedobry, to zleź mu i z oczu. Chodź ze mną, posiedzisz jaki czas u mnie, a potem to i pomyślimy jakoś. Tatuś kiedy odjeżdżali wyraźnie mi nakazali czuwać nad tobą, teraz miarka się przebrała; to też chodź do mojej chaty. U nas chata nie zamożna, ale co mamy to twoje, i baba też się na mnie nie pogniewa i złego słowa ci nie piśnie.

— „Macieju, wyszeptał chłopczyna, ja z wami chętnie pójdę, — ale mi stryja strach — ja się boję stryja....“

— „Ej, nie bój się kochanie, przecie cię wyraźnie stryj napędził — a potem ja i gromada, my cię nie damy na dalsze katowanie; ja stary wprawdzie, ale choć on pan niby, ja się go przecież nie boję — złego nic nie robię przezto, to i co mi kto ma kazać?... A w najgorszym razie to cię i ukryć potrafimy, i do sądu wszyscy zaświadczyć pojdziemy o jego nieludzkości. Chodź ze mną serdeńko!“

Pawełek ujął za rękę Macieja, i podążył z nim do chaty. Chata to była porządna — z wszystkich stron widna była

zamożność. A czyściutko wszędzie aż miło. Dach nowo poszyty, na nim komin murowany sterczy i koło na dachu założone, a w nim para bocianów klekocze i młodym swym dziatkom rozprawia o dobrem sercu gospodarza. Bo gdzie bocian nad chatą, tam i serca ponoś poczciwe.

Maciejowa, która już od sąsiadek o wszystkiem wiedziała jak najlepiej ich przyjęła. Posadziła Pawełka za stołem w świtlicy, a że to już wieczór był, postawiła przed nim wieczerzę, którą chłopczyna wygłodniony z ochotą i ze smakiem zajadał. Potem posłała mu swieżego sianka, dała własną poduszczynę i życzyła mu dobrych snów. Pawełek też klęknął, zmówił nabożnie paciorek, jak go ojciec nauczył, a że był strudzony, to też i zasnął niebawem słodko. (C. d. n.)

Żniwa.

Brzęczą sierpy wśród zagonów
Od samej jutrzenki,
A na widok Bożych plonów
Brzmią raźnie piosenki:

Będzie jara, będzie żyto,
Będzie dosyć chleba,
I w stodółce jak nabito,
Czegoż więcej trzeba?

Przodownica jak malina
Smiało sierpem toczy,
Przy niej chłopak gdyby trzcina
Zwraca ku niej oczy.

Poza niemi jakby wieńcem
Z wstążek i korali,
Ciągną żeniec po za żeńcem,
Coraz dalej, dalej.

Matka ziemia się nie sroży,
Choć jej tną równiny,
Boć ten cały ludek Boży
Toć to są jej syny.

Ona swym ich karmi plonem
W każde żniwo nowe,
I ogrzewa własnem łonem,
Gdy w niej złożą głowę.

Więc też żeńcy ciągną sznurem,
I z sierpem po płonach,
I z tą pieśnią, co brzmi chórem
Na naszych zagonach.

A gdy kłoska już nie stanie,
Splotą upominek,
I zawieszą go na ścianie
W szczęsnym dniu dożynek.

Bez pracy, nie będzie kołaczy.

Gdy Adam i Ewa na pracę skazani,
Z rajskiego ogrodu zostali wygnani,
Cherubin rzekł do nich: „W świat idźcie biedacy,
Już teraz bez pracy nie będzie kołaczy."
Więc smutnie w świat idąc mówili do siebie:
„O! w jakże nas ciężkiej Pan stawia potrzebie!
Tak dobrze nam było w roskosznym Edenie;
Mieliśmy owoców na każde zachcenie,
A teraz musimy najmniejszy plon ziemi
Zdobywać, niestety rękami własnemi!"
Lecz rady nie było, już klamka zapadła:
Więc trzeba się było jąć rydla i radła.
Szło z razu oporem, trud zdał się im żmudny,
Boć każdy, jak wiecie, początek jest trudny.
Lecz wkrótce uczuwszy ci pierwsi kmiotkowie
Skrzepione od pracy i siły i zdrowie,
Przestali nazywać nieszczęście swe srogiem;
A gdy się im praca już stała nałogiem,
Gdy słodycz spoczynku po trudach poznali,
Powoli i szemrać na los swój przestali.
Niebawem też ziemia ich potem zroszona
Zaczęła wydawać i kłosy i grona:
Z radością patrzyli na starań swych dzieło,
I błogie uczucie ich serca przejęło,
I plon ich miał prawie tak wiele dlań miodu,
Jak słodkie owoce rajskiego ogrodu.
Więc wznieśli wzrok w niebo, i zgiąwszy kolana,
Takiemi się słowy ozwali do Pana:
„O Boże! o Stwórco łaskawy bez miary,
Jak wielkie twe dary, — tak zbawcze i kary;
Ty karząc obdarzasz, Ty chłoszcząc uzdrawiasz,
I w skutkach nieznacznie swą łaskę objawiasz.
My na Cię sarkali, i na nasz stan bieden,
Dziś widzim, że praca zastąpi nam Eden."

Król Kazimierz Wielki.

(Ciąg dalszy.)

Tymczasem otrząsłszy się cokolwiek od Krzyżaków, uderzyła Litwa niezwłocznie całą siłą na Ruś, aby powetować poniesione w tej stronie straty. Rozsypały się niszczące zagony litewskie po świeżo zajętych przez Polskę ziemiach wołyńskich i halickich, i po krótkim czasu przeciągu było już wiele zamków, a podobno nawet sam Lwów w rękach kniaziów Litewskich. Król Kazimierz nie miał sam dostatecznych sił do odparcia napadu litewskiego, udał się więc do Ludwika króla węgierskiego, i na podstawie dawnego przymierza i ugody żądał od niego pomocy. Ale król Ludwik, jak to zwykle bywa, chciał z tego kłopotu wuja swego skorzystać, i na przyszłość posiadanie Rusi sobie i swym następcom zapewnić. Powiadali bowiem Węgrzy, że oni dawniejsze do Rusi mają prawa niż Polska, gdyż już za dawnych bardzo czasów Ruś do nich należała. Były to prawa bardzo wątpliwe, a co do swej starodawności nie mogły się równać z polskiemi, bo wówczas, kiedy to król nasz Bolesław Chrobry o złotą bramę miasta Kijowa miecz swój szczerbił, kiedy dawniej jeszcze Włodzimierz Mieszkowi I. czerwonoruskie odbierał grody, wówczas jeszcze i noga węgierska na ziemi ruskiej nie była postała. A i później nieraz i przez dłuższy czas Ruś była pod panowaniem Polski. Przyciśniony koniecznością musiał Kazimierz Wielki uznać niesłuszne żądania Ludwika i około Wielkanocy r. 1352 odpisał następującą ugodę: Odstępuje Ludwik Kazimierzowi Ruś za cenę 100.000 florenów, z tem atoli zastrzeżeniem, że gdyby po Kazimierzu Ludwik korony polskiej a z nią razem i Rusi nie odziedziczył, wolno będzie Węgrom za tę samę cenę Ruś nazad odkupić. Po tej dopiero ugodzie, która Węgrom na każdy wypadek posiadanie Rusi na przyszłość zapewniała, dał się Ludwik nakłonić, by wujowi swemu na pomoc pospieszył, i wyruszył osobiście na czele swych wojsk na Ruś, gdzie Kazimierz z swem wojskiem już od kilku miesięcy się znajdował. Wspólnemi siłami wyparli Litwinów z miasta Halicza i Włodzimierza, a kniazia litewskiego Lubarta wzięli w niewolę. Mimo to szczęście im nie sprzyjało. Książe litewski Olgierd

zawezwał ku pomocy swojej hordy tatarskie; wtedy widział się Kazimierz zmuszonym zawrzeć rozejm t. j. zgodę tymczasową. Litwini zatrzymali miasta Włodzimierz, Łuck, Chełm, Bełz, Brześć, zapewniając Kazimierzowi zato spokojne posiadanie ziemi lwowskiej i halickiej, nadto zobowiązali się dawać mu pomoc w każdym razie przeciw Tatarom.

Niejednokrotnie jeszcze później Kazimierz na Ruś się wyprawiał; niejedno jeszcze zaszło krwawe starcie, którego jużto Litwa, jużto Tatarzy byli powodem, ale dzierżawy polskie na Rusi nie tylko się nie zmniejszyły, i owszem wzrosły, wzbogaciły się i uporządkowały pod starannym tego mądrego króla zarządem. W roku 1366 ostatecznie się król Kazimierz z książętami litewskiemi o granice ruskie ułożył.

Gdy tak z tej strony Kazimierz Polsce Ruś przywrócił, z drugiej strony za pośrednictwem króla Ludwika księstwo Płockie od hołdownictwa czeskiego uwolnił. W zamian oswobodzenie Płocka i całego Mazowsza z pod wpływu czeskiego, zrzekł się Kazimierz wszelkich praw do Swidnicy i Jaworza, księstw szlązkich. Tak utracił wprawdzie Kazimierz ostatnią posiadłość na Szlązku, ale za to wyswobodził Mazowsze z pod obcego wpływu, przygotowując przezto zupełne tej serdecznej ziemi z koroną zespolenie.

Tak wracały powoli dawniejsze uszczerbki i wypełniały się znowu granice królestwa. Król Kazimierz powiększył i wzmocnił Polskę, utrwalił w niej pokój przez zgody z sąsiadami i mógł teraz zupełnie swobodnie odpocząć po tylu pracach i wojennych przeprawach. Ale nie tak uczynił ten ojciec swego narodu. Oto zajął się wzbogaceniem i podniesieniem swego królestwa; wytężył swe staranie by w tej Polsce prócz spokoju na zewnątrz, także wewnętrznie oświata, zgoda, bogactwo, przemysł, wogóle wszystko co kraj podnosi i zdobi, zakwitły. Pierwszym czynem na tej drodze było ustalenie prawa, bez prawa bowiem sprawiedliwego żaden naród szczęśliwie żyć i rozwijać się nie może.

W Polsce wówczas ogromny panował zamęt w stosunkach prawniczych; prawa krajowego, któreby wszystkich zarówno obowiązywało, nie było; musiał więc Kazimierz zebrać wszystkie pojedyńcze przepisy, co w Polsce starodawnym zwyczajem

moc prawa otrzymały, wszystko co od pradziadów albo pisemnie albo też ustnie za prawo służyło, wszystko to musiał Kazimierz zebrać, to co niestosowne zmienić, nowe dodać, jednem słowem ogólne prawo dla Polski wydać. Tak bowiem podówczas w Polsce było: po sądach były tak zwane księgi sądowe; jeżeli trza było osądzić jaką sprawę, to szukał sędzia, czy już przedtem, przed laty podobny gdzie wypadek się nie zdarzył i tak samo sądził. Jeżeli zaś w księgach sądowych podobnego wypadku nie było, wtedy dawano nowy wyrok, i dla użytku na przyszłość wpisywano do ksiąg sądowych. Rozumie się, że przezto nieraz niesłuszności i zdzierstwa się zdarzyły. Trza było tedy przedwszystkiem utwierdzić to prawo zwyczajowe, bo polegające na zwyczaju dawnych lat. Gdy tu atoli księgi sądowe niedostatecznemi się okazały, musiał Kazimierz takich ludzi zawezwać, którzy ze stanowiska swego jako sędziowie, osobiście prawo dawne na pamięć umieli. Takiemi sędziami byli wojewodowie. Każdy z nich z rozkazu króla spisał prawo, i przysłał królowi do Krakowa, gdzie osobne grono mężów biegłych w prawie te prawa poprawiało. Po ukończeniu tej pracy zwołał król zjazd jeden w Piotrkowie dla Wielkopolski, drugi w Wiślicy dla Małopolski (w r. 1347) osobno dla obu i statuta nowe przedłożył. Panowie obradujący przyjęli statuta królewskie poczem w licznych odpisach z pieczęcią królewską te statuta wszystkim głównym urzędom i sądom rozesłano.

Prawo to nie było jeszcze zupełnie dobrem, mnóstwo było w niem jeszcze usterek i niestosowności, zawsze zbyt rażącą była różnicą między Mało a Wielkopolską, które do odmiennych praw będą przyzwyczajone. Dodawano nowe całą Polskę obowiązujące statuta, które te różnice praw zwolna zacierały.

Aż nareszcie w r. 1368 pod sam schyłek życia Kazimierza, zwołano wspólny zjazd w Wiślicy, gdzie jeden wspólny statut dla całej Polski ułożono. Była to korona ustawodawczej wielkiego króla pracy. (D. c. n.)

Prusaki.

Pyta dzisiaj jaki taki, co za naród te Prusaki? Wistocie ciekawe to pytanie zkąd się wzieli prusaki. Może myślicie

że ja wam opowiem o tych prusakach, co często po chatach roją się między szparami drewnianych domów? nie o tych owadach chcę mówić, powiem coś o ludziach Prusakach, co mają swego króla w Berlinie i zagarnęli kawał ogromny naszej ziemi, naszej ojcowizny, z miastami Poznaniem, Toruniem, Gdańskiem, co się starają przemocą nasz naród przeprowadzić na niemiecką wiarę.

Żył sobie nad morzem baltyckiem naród dzielnych Prusów, po odwiecznych lasach stawiał drewniane domy, polował na grubą zwierzynę, a po brzegach morza trudnił się rybołowstwem, wyłapywał śledzie i zbierał złocisty bursztyn. Bo bursztyn nie rośnie na drzewie, ani w górach kruszcowych, ale go wyrzuca morze, wypłukuje z swych głębin i unosi na nadbrzeżny piasek, a ludzie potem idą i zbieraja i przedają kupcom całego świata. Naród owych Prusów silnie zbudowany i waleczny, był z naszym spokrewniony, różnił się nie wiele obyczajami i zrazu wybierał własnych książąt. Myśmy ludzie spokojni, a nasi ojcowi pilnowali także rodzinnej strzechy, ale jeżeli im kto włazil do chaty i chciał gospodarować, wtenczas się wzięli za ręce i jak jeden mąż występowali przeciw wrogom. Nasi ojcowie szanowali cudzą miedzę i cudze granice ale Prusy jeszcze byli ciemni, a przytem czuli w sobie młodą krew, zapatrzyli się też na morze, jak ono wdziera się na ląd i nieraz wodą zalewa brzegi, więc też i oni dalej się posunęli i wdzierali się w nasze posiadłości.

Rozczytawszy się w dawnych kronikach i historyach pisanych przekonujemy się, że już król nasz Bolesław wielki i Bolesław krzywousty i inni walczyli z Prusami, a choć im narazie zawsze dali radę, to przecie tamci znów się podnosili i znowu stawali do walki.

Dawne to dzieje, bo jeszcze wtenczas nawet w Europie to jest w tej części ziemi w której i nasze ziemie leżą, nie była zaprowadzona wszędzie religia chrześciańska. Nasi ojcowie już chrzest byli przyjęli, ale sąsiedni Prusy byli jeszcze bałwochwalcami i modlili się do kamiennych lub drewnianych bogów. Taka różnica religijna przyczyniła się bardzo do nowych nieporozumień i wojen z spokrewnionymi sąsiadami.

Najczęściej napadali Prusy Mazurów. A był na mazurach książę Konrad, który widząc, jak biedny naród jego gnębią Prusy, a on sam jest dość słaby i napastnym sąsiadom oprzeć się nie może, zaczął się oglądać po świecie zkądby dostać pomocy.

Dziś niemców jest bardzo dużo, a mnożą się tak, że nawet ich kraj niemiecki pomieścić nie może, więc rozłażą się po całym świecie i do nas zachodzą to koloniami i obsiadają pola, to pojedyńczo zawędrował jaki taki i zaraz został urzędnikiem na poniewierkę narodu, albo konsylarzem. Tak to bywało. Wtenczas za życia naszych ojców, było także mnóstwo niemców, więc za ciasno im było w domu, dlatego wybrali się na Turka za morze. Długo się tam bili i mordowali z Turkiem, ale mu rady nie dali, bo on tam gdzie siedział dawniej, tam sobie i teraz spokojnie panuje. W owych to wojnach z Turkami potworzyły się różne zakony, powstał także zakon niemiecki Krzyżaków. Dopóki wojny było, dopóty Krzyżaki mieli bogate zdobycze i wygodne życie, a gdy wojny nie stało, wynieśli się z tureckich krajów i cichutko osiedli we Włoszech w mieście Wenecyi.

Mazowiecki książę Konrad oglądając się po świecie za pomocą pomyślał sobie, że możeby zawołać ten zakon Krzyżaków, bo to i osoby duchowne i noszą poświęcane pałasze, więc nam pomogą bić Prusy a może nauczą ich także wierzyć w Chrystusa. Jak sobie myślał, tak też i zrobił. Wyprawił posłów do Krzyżaków do Wenecyi. Nasi przyszli pokorni, jak zwyczajnie do osób duchownych, a tam przełożony Krzyżaków jeszcze pokorniej się skłonił i powiada:

— My Krzyżacy służymy Bogu, a jeżeli wy chcecie abyśmy wam dali pomoc przeciw poganom, to chętnie zgodzimy się. Pójdziemy bić i mordować Prusów na większą chwałę Bożą.

— Na to znowu nasi posłowie mówią: za waszą pomoc naznaczymy wam kawał ziemi, abyście mieli żyć z czego wygodnie, ale musicie nam przysiądz, że pójdziecie zawsze i wszędzie przeciw naszym nieprzyjaciołom.

— Bić nieprzyjaciół waszych będziemy, odpowie przełożony Krzyżaków, a co do wygody, my tego nie potrzebujemy,

my zakonnicy, byleśmy mieli kawał suchego chleba, świeżej wody i miejsce do oddania czci Panu Bogu, więcej nam nie potrzeba.

Ujęci tą pokorą posłowie zaprosili ich by jak najprędzej przybywali na naszą ziemię, a znajdą gościnę i czego tylko będą potrzebować.

I rzeczywiscie pokorne mnichy niemieckie przyszli do naszego kraju, i służyli naszym w wojnach przeciw Prusom. Lecz gdy się już zagniezdzili, wtenczas dopiero głowę podnięśli i nie byli już tak pokornymi. Choć mieli i miasta z kościołami i ziemię dostali, aby nie tylko chleb suchy, ale wygodne mieli utrzymanie, przecie to wszystko wydało im się za mało, zaczęli zabierać po kawałku naszego kraju, ludzi jak niewolników zabierać, i kazali naszym wieśniakom ziemię sobie orać i kopać rowy i sypać wały naokoło swoich zamków. Biedny nasz naród poznał za późno, że wygrzał gadzinę na własnej piersi. A Prusy? Prusów jak ciężkim kamieniem przygniótł własnym ciężarem ten niemiecki zakon, więc powiedzieli, że już z nami się złączą i przyjmą wiarę chrześciańską. Lecz zakon Krzyżaków, co niby za wiarę życie oddawał, powiedział, że woli, aby Prusy byli poganami, niż żeby mieli się zgodzić z nami. Nasi ojcowie już teraz do broni się porwali, lecz nie przeciw Prusom, ale przeciw niemcom Krzyżakom.

Z początku do naszego kraju przyszła ich mała garsteczka, a później z całych Niemiec, jak z wora się sypali na nasze karki. Prusów mordowali i ziemię ich zabrali, ich wsie i miasta, a zaczęli się sami nazywać Prusakami. Dawniej mówili że dla nich chleb suchy wystarczy i woda, teraz, krwią Prusów się nakarmili, a spijali najdroższe wina. Zakonnicy pokorni nosili długie białe płaszcze z czarnymi krzyżami, i na pozór zawsze wyglądali ubogo. Biedni zakonnicy, złoto się na nich nie świeciło, ale spojrzeć do środka, do ich zamkniętych piwnic po klasztorach, tam złoto w worach stało obok beczek napełnionych najdroższem winem. Zakonnicy ubodzy, a jak daleko spojrzeć, łany zboża ciągną się i wioski zakonne, tłuste woły, a rosłe konie Krzyżaków wypasają się po obszernych łąkach.

Długie wojny z nimi nasi ojcowie toczyli; aż ich pobił nasz król Łokietek, potem jeszcze się podniesli, ale znowu król Władysław Jagiełło pobił ich niezliczone mnóstwo w wielkiej wojnie pod wsią Grunwaldem. Połowa kraju dawnych Prusów przystała do naszego króla, a drugą połowę król zostawił Krzyżakom niemcom co się już odtąd Prusakami nazywali. Pokarał ich Pan Bóg i upokorzył, a od ostatniej bitwy znowu nasze mnichy niemieckie wrócili do modlitwy i żyli spokojnie nie mięszając się w nasze sprawy, tylko każdemu królowi naszemu w Krakowie składali na wierność przysięgę.

Kraj nasz od tego czasu przez długie lata używał spokoju od strony Prusaków niemców.

Tymczasem po wielu latach zaczęło się pomiędzy chrześcianami szerzyć niedowiarstwo. I patrzcie te mnichy co niby dla wiary Chrystusowej krew przelewali, falszywie udając gorliwość, na obrazę Pana Boga tyle ludzkiej krwi wytoczyli, te mnichy Krzyżaki pierwsi odstąpili od wiary, pozrucali czarne krzyże i suknie zakonne i pożenili się. Od tej pory nazywali się już ciągle Prusakami, i dzieci tych z konników już także Prusakami się nazywali. Zakonników tych było dużo, całe wojsko; odrazu więc wyszedłszy z klasztorów porozdzielali pomiędzy siebie dobra i zostali panami. Ale naszym królom zawsze jeszcze i potem składali przysięgę na wierność.

Widzicie jak życie naszego narodu splotło się z niemcami co się przezwali Prusakami a nasze zajęli ziemie. Lecz Pan Bóg nas jeszcze więcej ukarał, bo te Prusaki urośli w potęgę i zabrali nam najpierwiej ziemię Prusów a potem wymyśleli taką sztukę falszywą, aby nas pozbawić wolności. Naradzili się z Moskalami i z Austryjakami i nasz kraj porozrywali pomiędzy siebie a Prusaki wzięli nam kraj, co się nazywa wielkiem księztwem Poznańskiem.

Patrzcie jaki bicz ukręcił nasz naród na siebie sprowadziwszy owych mnichów, co to jak żebracy tułali się bez dachu po świecie, ale miarka sprawiedliwości bożej się przebierze i ukarze Bóg ciężkiego wroga za nasze wszystkie niedole.

P. Z.

Obrońca Matki Najświętszej.

Gościnna ziemia polska przybyszom uciśnionym z całego świata zabezpieczała niegdyś swobodne schronienie. Wielu z nich pokochawszy tę ziemię zrosło się z narodem polskim i odwzajemniło serdeczną gościność poświęceniem mienia i życia dla dobra tej przyswojonej ojczyzny. Tatarzy nawet, owe barbarzyńskie plemię, miało szczególniejszy pociąg do tej ziemi. A tak gdy jedni zdobyczą obciążeni uchodzili w puszcze niedostępne, drudzy oczarowani powabem przyrody, nie mogąc się oderwać od tej błogosławionej krainy, osiedlali się po różnych miejscach, a najbardziej w Litwie, gdzie mieli obszerne osady, rząd i chorągwie wojskowe pod zwierzchnictwem naczelników.

Nowi osadnicy wiernie służyli Polsce, a Magnaci zadowoleni ich sprawnością radzi im zawsze byli. Miał też książe Radziwiłł Tatarzyna przy boku swoim, który lubo na lewą rękę był kaleką, jednak prawą, gdy potrzeba wymagała, dobrze zastawiał się za honor pana swego. Przytomny zawsze i niezmiernie obrotny jeździł ciągle za różnemi sprawunkami dworu. Razu pewnego wypadło mu zanocować w karczmie przez żyda utrzymywanej, którego też znając ów gospodarz być Tatarzynem, śmiało pocz ł szydzić z wyznania wiary katolickiej mówiąc: my jesteśmy wielkie drzewo, a chrześcijanie to liście na naszem drzewie, a gdy przyjdzie wiatr to liście pójdzie precz, na śmiecie, w błoto.

Słuchaj żydzie! powiada Tatarzyn, ty nie ruszaj mi niczyich świętości, wara od wyznań religijnych; uważaj, czy kiedy burza twoje drzewo wraz z korzeniem nie obali a zresztą wiedz o tem, że to wyznanie wiary, które hańbisz jest wyznaniem Pana mego.

Ny co to panu szkodzi, że ja o tych mówię, co to z przeproszeniem świńskie mięso jedzą. Woni bierą jedno drzewo, kawałek porąbią i spalą i zagrzeją się przy niem, i chleb sobie upieką i pieczeń usmarzą, a z reszty tego drzewa zrobią sobie Boga, któremu się kłaniając wołają: ratuj nas Boże! Aj waj! woni mówią, że jakaś Marjanka syna boskiego porodziła.

— Stul pysk niecnoto! zawrzał gniewem Tatarzyn, a dobywszy pałasza ciął po łbie żyda, że aż się przewrócił. Lecz gdy rana nie była śmiertelną najspokojniej udał się do przeciwległej świetlicy na spoczynek. O północy zdawało mu się, że nie spi, że jakaś światłość ogarnęła całą świetlicę, a przy drzwiach zamkniętych ukazała się pani cudnej urody i zbliżyła się do niego mówiąc: „Pokój tobie synu! dziękuję ci, iżeś się ujął za mną, jedź do Trok i wstąp do kościoła, tam zastaniesz księdza mszę czytającego, ten niech przeżegna rękę twoją a zdrów będziesz.“ Poczem całe to widzenie błogie zniknęło; gruba ciemność znowu zaległa a jęki skaleczonego żyda przerywały niekiedy posępną ciszę karczemną.

Zrana przebudziwszy się Tatarzyn przypomniał sobie to miłe widzenie, a gdy go rzeczywiście droga przez Troki prowadziła, wstąpił do kościoła farnego i zastał księdza mszę odprawiającego. Lecz jakież było jego zdziwienie, gdy wzniosłszy oczy do góry, poznał w obrazie Matki Najświętszej tę samą twarz tej pięknej pani, która mu się we śnie objawiła. Z większą tedy ufnością przystąpił do kapłana, który przeżegnawszy rękę, zdrowie mu powrócił. Tatarzyn uszczęśliwiony dał się później ochrzcić i został dobrym katolikiem.

X. Sadok Barącz.

Rozmaitości.

— Jak się nazywał pierwszy człowiek? W gościnie przy garncu piwa siedziało kilku gospodarzy i gawędzili o tem i owem, pomiędzy któremi był też jeden co umiał a, b, c, pisać na piasku i opowiadał jak to czart skusił Ewę. Nareszcie zapytał obok siedzących: „A wiecie wy jak się pierwszy człomiek nazywał?“ „Dlaczego nie, odpowiedział jeden, przecie nazywał się Adam.“ — „Ale Adam to imię dane mu było na chrzcie.“ Po długiej dyspucie odpowiada uczony a, b, c, oto nazywał się Skruszyła.

A zkąd to wiecie?

Ba zkąd, dyć organista śpiewa: pierwszy rodzic skruszyła.

— Ogrodowy spotkał ogrodowczyka śpiącego w cieniu. „A ty hultaju,“ rzecze trącając go nogą, „jak śmiesz spać kiedy robota leży, nie jesteś wart, że słońce nad tobą świeci.“ Ów przecierając oczy, rzecze na to: „Toć właśnie dlatego skryłem się do cienia.“

— Pewna złodziejka weszła do sklepu w chwili, gdy kupczyk był zatrudniony mierzeniem materyi dla kogo innego. — Na boku leżało kil-

kanaście łokci aksamitu, który nieznacznie ściągnęła pod pachy i jak gdyby nic, wychodzi niepostrzeżenie na ulicę. Wtem wraca kupiec właściciel tego sklepu z mia ta, a rozumiejąc, że ona ten aksamit kupiła w jego sklepie, odzywa się do niej: „Moja gosposiu, proszę i na drugi raz.“

Czy usłuchała nie wiem.

— Kruk. Miała się odbyć koronacja króla nowego w pewnem mieście. Obywatele przygotowywali się na nią z różnemi podarunkami dla króla. Jeden z tych obywateli złapał kruka młodego i uczył go wymawiać: Witaj królu najłaskawszy, panuj nam przez długie lata. Lecz kruk tego nie pojmował. Nareszcie zbliżał się już dzień koronacyi; a kiedy się nieszczęśliwy obywatel namęczył dosyć z upartym krukiem, zawołał: Daremna moja praca. Wszyscy znoszą podarunki dla króla, obywatel myśli sobie: poniesę i ja kruka, może tam przy natłoku licznych podarunków zważać nie będą na kruka. Niesie go tedy i gdy stanął przed królem, obojętnie przyjął to król mówiąc: mam ja już tego dosyć. Na co kruk odezwał się: daremna moja praca. No zostań się, rzekł król uradowany do kruka, który przez cały ciąg uczty był przedmiotem podziwu.

Koń. Pewien pan miał konia ładnego, w którym się bardzo rozmiłował. Często też powtarzał, że gdyby kto nauczył konia gadać dałby mu za to tysiąc dukatów. Znalazł się filut, który podjął się za rok wyuczyć konia. Pan dał mu dobry zadatek i marzył już o ósmym cudzie świata, jeżeli koń jego rozmawiać będzie. Filut kazał konia zamknąć w stajni, dawać dobrze jeść, i codziennie, rano, w południe i wieczór odwiedzał swego ucznia. Ale pan był bardzo ciekawym, co ów nauczyciel mówi do konia. Namawia tedy koniuszego, żeby baczne oko zwracał na nauczyciela. Udało mu się dosłuchać słów ciągle powtarzanych i pospieszył zdać z tego sprawę, a stanąwszy przed panem rzekł: ta jakaś komedja panie, on koniowi nic więcej do ucha nie mówi, jeno: albo, albo, albo. Obruszył się pan i kazał przywołać do siebie końskiego mistrza, którego, gdy stanął przed nim, surowo przywitał: słuchajno co ty za błazeństwo wyrabiasz z koniem? co to ma znaczyć, albo, albo, albo, które koniowi do ucha gadasz Mistrz z największą flegmą odpowiedział: ja codziennie powtarzam koniowi, że albo koń zdechnie do roku, albo ja umrę, albo też pan umrze do roku, gdyż konia nikt jeszcze nie nauczył gadać. A żeby cię wszyscy djabli wzięli szachraju! zawołał pan na wynoszącego się mistrza.

— Ktoś Pewien pan miał sługę który mu często zjadał potrawy, lub wino wypijał. A gdy go zapytano, gdzie się podziała moja pieczenia? sługa odpowiadał: ktoś zjadł, kto wino wypił odpowiadał: ktoś wypił. Razu jednego dzwoniono umarłemu, pan zapytał sługę, na co to dzwonią? Ktoś umarł, powiada sługa. Wieczny pokój, niech mu będzie, chwała Bogu, że przecie raz umarł. Zdaje się że sługa tych słów nie zrozumiał, gdyż na drugi dzień smacznie zjadał zająca, którego pan na wieczerzę schować rozkazał. Przychodzi pan do domu i woła: dawaj zająca. Nie ma panie, ktoś zjadł.

Hultaju obmierzły! wakżeś wczoraj mówił, że ktoś umarł, to po śmierci jeszcze chodzi i zjada, he?

— Inny sługa gdy zbił szklankę, zwykł mawiać, stłukła się. Na co pan bardzo rozumnie odpowiedział: gdybym ci uszy oberwał, to powiesz same się oberwały — co?

— W pewnem mieście podczas publicznego posiedzenia sądu gdy adwokat, którego natura obdarzyła szpetnością i maleńkim nosem, dla objętości sprawy ustawał niejako w czytaniu rozwlekłego aktu; tuż obok niego siedzący radzca miasta z potężnym nosem, chcąc z niego zażartować, zapytał obecnych: „czy nie ma kto okularów, by pożyczył panu adwokatowi?“ Adwokat do tknięty, odpowiedział bardzo przytomnie: „Chcąc ich użyć, musiałbym pierwej pożyczyć nosa u pana.“

Złote ziarna.

Bóg nie nad głową mieszka, lecz w środku człowieka,
Więc kto w głowę zachodzi, od Boga ucieka.

Gdzie kto będzie po śmierci, za życia odgadnie,
Gdzie się chylił za życia, tam po śmierci wpadnie.

Duch jest budowlą, ciało jako rusztowanie,
Musi być rozebrane, gdy budowla stanie.

O kawał ziemi ludzkie dobija się plemię,
Zostań cichym a możesz posieść całą ziemię.

Człowiek święty jest równie jak Stwórca bogaty,
Bo Stwórca z nim podziela wszystkie swoje światy.

Bóg wznosi się tak górnie tak wysoko leży
Że granic bóstwa swego sam nigdy nie zmierzy.

Szanownych prenumeratorów „Dzwonka“ przepraszamy za dotychczasowe opóźnienia, które nie były winą redakcyi. Odtąd szanowni prenumeratorowie otrzymywać będą Dzwonka jak najregularniej.

Dla uregulowania nakładu Dzwonka, upraszamy tych szan. prenumeratorów, którzy należytości za drugie półrocze jeszcze nie nadesłali, o łaskawe nadesłanie tejże, (najstosowniej przez pięciocentowe przekazy pocztowe), lub też o zawiadomienie nas, że Dzwonka nadal otrzymywać sobie życzą.

Redaktor odpowiedzialny i wydawca Kazimierz Okaz. — Z drukarni E. Winiarza